

ANNA ROBAK-RECZEK

OCHRA



ANNA ROBAK-RECZEK

OCHRA



Rodzicom

1

Włożyłam za cienkie majtki. Czułam to już po pięciu minutach spaceru, ale nie zawróciłam, więc tyłek mi skostniał i przewiało mi nerki. Szłam dziarskim krokiem, błoto chlupało pod stopami, ale to był podstęp – pod cieniutką, zmarzniętą skorupką kryła się młazszcząca, brunatna masa, oblepiająca nogi od razu po kolana. Listopad nie bierze jeńców. Wielkie połacie sinego nieba wiszą nad ziemią w odcieniach brązu i szarości, a plamy liści, jeszcze niedawno kolorowe, blakną i butwieją, roztaczając wokół słodkawą woń rozkładu. Szybko przychodzi noc i to jest właściwie akt litościwy, bo przykrywa ona wyprany z barw świat i zostawia tylko trochę świateł, ku pokrzepieniu. Wróciłam do domu przed zmrokiem i pierwsze wpuściłam psy, bez wycierania im łap.

Mój dom stał na końcu miasta. Koniec tego konkretnego miasta to żadna sztuka – więcej tu obrzeży niż centrum. Skromne miasteczko nie liczy nawet trzydziestu tysięcy mieszkańców. Nie dość mało, by wszyscy się znali, ale prawie. Nie przepadałam za ludzkimi spojrzeniami, więc odpowiadało mi to, że mieszkam nieco na uboczu. Z kuchennego okna patrzyłam na drogę prowadzącą do lasu, którego ściana zaczynała się kilka metrów za moim ogrodem. Z okien salonu widziałam pole, a z sypialni na górze mogłam zobaczyć kawałek mostu na rzece. Od listopada do końca lutego od strony pola ciemności są nieprzeniknione. Od wejścia zaś mrok rozpraszają latarnia i poświata z okien sąsiadów naprzeciwko. Ostatnie bastiony cywilizacji. Czasami nie włączałam światła u siebie i wtedy na podłodze w przedpokoju

kładły się plamy jasności z ulicy. Ale nie w salonie, tam nie było szansy na choćby ślad koloru czy blasku. Czern gęstniała w miejscach, gdzie stały meble, i omijałam je z pamięci. To dobra ciemność, w której można się ukryć i zniknąć. Potrafiłam się odciąć od świata, to moja supermoc. Kiedy miałam wszystkiego dość, kiedy byłam znużona codziennym mazołem, musiałam się tylko dowlec do swojej jaskini.

W listopadzie trzeba mieć azyl, bo inaczej jest się skazanym na przejmujący chłód i wiatr. Powroty do domu niosą wtedy w sobie coś z cudu. Człowiek zostawia za sobą mokre, zimne powietrze i wchodzi do ciepłego, suchego gniazda. We wtorki, w środy i piątki wracałam z miejscowej przychodni na piechotę. Przez dwa pozostałe dni pracowałam natomiast w pobliskim mieście, dużo większym i bardziej gwarnym od naszego. Kiedyś było stolicą województwa i wciąż czuło się z tego powodu trochę dumne, co może jest niezłym sposobem na zachowanie twarzy. Nadal mieściły się tu siedziby większości urzędów, a wielki szpital, w którego przychodniach przyjmowałam, też był reliktem przeszłości. Jego oddziały kliniczne oznaczały z kolei związki z najbliższą uczelnią medyczną dające pewne możliwości co ambitniejszym kolegom medykom. Plany zawodowe nie rysowały się przede mną szczególnie ciekawie. Zostałam lekarką, bo to był mój drugi pomysł na życie. Momentami lubiłam swoją pracę. Bycie dermatolożką w miasteczku takim jak moje, w miejscu zapomniałym przez system opieki zdrowotnej, miało swoje plusy. Nie było nas, lekarzy specjalistów, dużo, przychodziło więc do mnie wielu pacjentów. Nie musiałabym nawet jeździć do przychodni przyszpitalnej, ale lubiłam te wyprawy oraz to, że spotykałam tam ciekawsze przypadki i pracowałam z doświadczonymi kolegami i koleżankami, od których mogłam się dowiedzieć tego i owego. Praca, dom, moje psy i od czasu do czasu podróże. Naprawdę przyzwoite życie. Trwałam w nim w spokoju, płynąc przez kolejne dni, tygodnie, lata.

A potem nasz dom kultury zyskał nową szefową. Plotki ją wyprzedziły. Zanim się pojawiła w mieście, już wszyscy wiedzieli, z kim będziemy mieć do czynienia. Malarka. Artystka światowego formatu. Złośliwa. Stara. Za stara na stanowisko kierowniczkę domu kultury, jak pozwoliłam sobie zauważyć. Zbyt wielka pani na naszą miejscinę, mówili niektórzy i zakładali, że jak prędko przyjechała, tak szybko pojedzie. Miasteczko czekało na pojawienie się tej egzotycznej, jak na nasze warunki, postaci z ciekawością.

Poznałam ją trzeciego czy czwartego dnia jej pobytu w mieście. Odchodziła właśnie od rejestracji w naszej przychodni. Wysoka, to jako pierwsze rzuciło się w oczy. Siwe, proste włosy do ramion, bardzo gęste, odstające od głowy niczym sztywny kaptur. Rozpięty płaszcz w kolorze akwamarynu, z którego kieszeni wyciągnęła paczkę papierosów w miękkim opakowaniu. Podniosła na mnie wzrok i patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Oczy zielone jak trawa. Nie widziałam jeszcze takich, nawet się zastanowiłam, czy to nie jest zasługa kolorowych soczewek. W jej opalonej, pomarszczonej twarzy jarzyły się jak ślepiea jakiegoś gada. Smoka – tak pomyślałam. Smocze oczy. Przyglądała mi się z ciekawością, której nawet nie starała się ukryć, nie przestając szukać w kieszeni zapalniczki.

– Pani doktor, ja tu mam jeszcze jedną pacjentkę do pani. – Pielęgniarka z rejestracji wyrwała mnie z odrętwienia.

– Spóźnia się – zauważyłam.

Moi pacjenci wiedzieli, że nie toleruję niepunktualności. Owszem, płacili za wizytę, ale to nie znaczyło przecież, że będą na nich czekać godzinami.

– Dopiero dziesięć minut. – Młodsza z kobiet uśmiechnęła się do mnie. – Może promocja? Kwadrans akademicki.

Zielonooka przysłuchiwała się naszej rozmowie, wciąż grzebiąc w kieszeniach. Wzruszyłam ramionami.

– Idę jeszcze do łazienki. Daję jej pięć minut.

Zostawiłam plecak na stoliku przy recepcji i poszłam

korytarzem. Usłyszałam, jak tamta się żegna i wychodzi wreszcie. W toalecie popatrzyłam w lusterko. Moje spojrzenie nie mogło się równać z siłą jej gadziego wzroku.

Pacjentka jednak przysłała, zaprosiłam ją do gabinetu. Może nawet dobrze się stało, bo gdybym od razu wychodziła, jeszcze natknęłabym się na tę kobietę, która pewnie stała przed przychodnią, paląc papierosa. Prędzej czy później zostaniemy sobie przedstawione, to było nieuniknione w J., naszym „wielkim” miasteczku J., ale nie zamierzałam tego dobrowolnie przyspieszać.

Jak się okazało, nie musiałam czekać długo. Odbierałam właśnie nowy dowód osobisty, kiedy przy wyjściu z urzędu miasta natknęłam się na moją Hanię. Akurat rozmawiała z tamtą, a ja nie miałam szansy ich wyminąć. Hania emanowała radością. Znałam ją od prawie piętnastu lat i przez ten czas nie spotkałam równie pozytywnej osoby. Przyjaciółka, można powiedzieć. Nie lubiłam szafować tym słowem, jednak nikt z mojego otoczenia nie pasował bardziej do tego tytułu.

– Nadia! – zawołała, niemal podskakując na mój widok.

Podeszłam i Hania przedstawiła nas sobie.

– Doktorka. – Uśmiechnęła się tamta i wyciągnęła do mnie rękę. – Marta. Jestem starsza, mogę więc zaproponować, żebyśmy mówiły sobie po imieniu.

Nie lubiłam, gdy ludzie wychodzili z taką propozycją, ale w tym wypadku nie mogłam jej odrzucić. Marta miała ciepłą dłoń, mimo panującego chłodu.

– Marta robi w domu kultury małe przyjęcie zapoznawcze. Musisz przyjść, koniecznie, będzie koncert.

– Miasto sypnęło pieniędzmi? – Poprzedni dyrektor stale skarżył się na brak funduszy.

Marta pokręciła głową.

– Nie, ale zmieści się w tegorocznym budżecie – wyjaśniła i usłyszałam w jej głosie ironię.

– Jaki koncert? – spytałam, choć niezbyt mnie to interesowało.

Nie wiedziałam, co innego mogłabym powiedzieć, a jej uważne spojrzenie peszyło mnie.

– Duet na fortepian i trąbkę – odpowiedziała. – Zdolni muzycy. Oprócz muzyki będą też przekąski, jeśli to cię bardziej zachęci.

Powinnam to odebrać jako afront?

– Przyjdziemy – zapewniła Hania. – Ja bywam na wszystkich wernisażach, koncertach i przedstawieniach, jakie tylko u nas są.

Częściowo wynikało to z jej obowiązków zawodowych. Hania ciągnęła mnie na te wydarzenia ze sobą, a ja towarzyszyłam jej nawet całkiem chętnie, bo była to jednak jakaś rozrywka. Niekiedy nawet niezła.

– Marta przyszła porozmawiać z miejskim działem promocji – poinformowała mnie Hania. – Czyli ze mną.

Hania była tylko trzy lata młodsza ode mnie, ledwie dobiegała czterdziestki, ale zachowywała się czasami jak nastolatka. Potrzebowałam kogoś takiego jak ona, lecz chwilami musiałam odpoczywać od jej niesłabnącej pogody ducha.

– Wejdziemy? – Marta ruszyła od razu do środka, dając znać, że rozmowa dobiegła końca.

– Do zobaczenia – rzuciła do mnie od niechcienia.

Hania dodała swoje „cześć” i również zniknęła za drzwiami urzędu. Nie nazwałabym Marty niegrzeczną, jednak wydawała się kompletnie obojętna na to, jakie wrażenie może wywrzeć. Dotknęło mnie to, bo ja wręcz przeciwnie – chciałam wywrzeć na niej wrażenie jak najlepsze. Straszna baba, pomyślałam i poszłam do domu.

Ricky i Martin powitały mnie w drzwiach. Musiałam odepchnąć je kolanem, do czego potrzebowałam istic akrobatycznych umiejętności, bo oba moje psy były duże i niechętnie ustępowały z drogi. Mieszkańce wszelkich ras świata. Suczkę Ricky

podrzucili mi do ogrodu ludzie, którzy chcieli się pozbyć kłopotu w postaci niespełna rocznego szczeniaka. Melancholijna i nieśpieszna. Oraz uparta. Kudłaty Martin wyglądał dość poczciwie, ale miał mocny charakter i nie wahał się go okazywać. Ciągnęła się za nim trudna młodość włóczęgi i z tego okresu pozostała mu niechęć do większości ludzi i wielka miłość do jedzenia. Razem tworzyły zbójcejką spółkę terroryzującą okoliczne psy i niektórych ludzi.

Wypuściłam zwierzaki na chwilę do ogrodu, przebrałam się i wyszłam z nimi na spacer do lasu. Zapadł już zmrok, jak to w listopadzie, i zimne podmuchy wciskały się pod kurtkę. Przygotowałam się jednak, a dodatkowo rozgrzewał mnie szybki marsz. W lesie mrok stał się jeszcze gęstszy, ale nie przeszkadzało mi to, zresztą widać było jeszcze ścieżkę pod nogami, a w razie całkowitej ciemności zaopatrzyłam się w latarkę czołówkę. Psy biegały bez smyczy. Nie martwiłam się, że się zgubią – starały się trzymać blisko mnie, nie próbowały polować. Widziałam kiedyś na własne oczy, jak wypłoszyły z krzaków lisa, a potem stały i patrzyły, jak ucieka. A gdy Ricky wpadła na zająca, położyła się wystraszona i czekała, aż szarak sobie pójdzie. Szliśmy więc spokojnie, choć drzewa czasami trzeszczały, a z głębi lasu dochodziły dziwne dźwięki. Ludzie pytali mnie, czy nie boję się tych samotnych wędrówek, a ja niezmiennie odpowiadałam, że w tym lesie nie ma niczego groźniejszego od nas: moich psów i mnie.

Spacer zawsze dobrze mi robił. Niekiedy chodziłam z Ricky i Martinem nad rzekę, bo widok światła z nowego osiedla po drugiej stronie i jasno oświetlonego mostu był pełen uroku i koił mnie. Tym razem jednak wybraliśmy inną drogę, zatoczyliśmy koło i wróciliśmy do ogrodu dopiero po półtorej godziny. Psy wyglądały na zadowolone, w domu uwalily się na dywaniku blisko ciepłego kaloryfera. Ja usiadłam z herbatą i otworzyłam laptopa. Zamierzałam przejrzeć moje medyczne biuletyny, może zerknąć

na terminarze konferencji, żeby zobaczyć, gdzie by tu warto pojechać. Zamiast tego wpisałam do przeglądarki jej nazwisko i po chwili artystka Marta patrzyła na mnie ze zdjęć z wernisaży i z fotografii umieszczanych obok wywiadów. Miała, oczywiście, swoje hasło w Wikipedii. Ostatni jej obraz sprzedał się za równowartość sporego mieszkania w stolicy i nie była to najdrożej spieniężona praca. Mieszkała przez kilka lat w Nowym Jorku, potem przez jakiś czas w Londynie. Współtworzyła grupę artystyczną Przeloty, która przez niemal dekadę organizowała w samym sercu Rudaw Janowickich autorski festiwal sztuki alternatywnej. Internet nie zdradzał zbyt wielu faktów z jej życia prywatnego. Cóż, malarka to nie celebrytka, żeby polowano na pikantne szczegóły z sypialni czy kuchni.

Co ją podkusiło, żeby nagle zamieszkać tutaj? Po jaką cholere jej dom kultury pośrodku niczego? Poczula misję i będzie nam tu nieść kaganek oświaty i lampkę kultury?

Przyglądałam się jej dziełom, większość z nich kojarzyłam. Klikałam kolejne strony i nagle go zobaczyłam. Ten obraz. Pamiętałam go, pamiętałam, jak stałam przed nim w galerii i chciałam zapisać go w myślach, żeby móc w dowolnej chwili zamknąć oczy i przywołać go z jak największą dokładnością. Charakterystyczna dla niej w tamtym okresie paleta kolorów, przeważnie chłodna. Wśród tego chłodu kilka plam ochry i oranżu zagubionych w lodowatym kraju długiej zimy. W tym obrazie była przestrzeń, w którą się wpadało. Wciągała w świat malarki, który równie dobrze mógł być moim własnym, tak bardzo rozumiałam i czułam każdy jego element. Byłam bezbronna wobec jej sztuki, miała nade mną władzę. Przychodziłam na tę wystawę przez cztery kolejne dni, aż mój umysł pochłonął każde pociągnięcie pędzla.

Wpatrywałam się w ekran laptopa. Obraz znajdował się w prywatnych zbiorach belgijskiego konesera sztuki. Czy kupił go zaraz

po tym, jak dzieło mnie oczarowało? Czy wypatrzył go w tej samej galerii, czy później na innej wystawie? Czy wybrał go sam, czy zrobił to dla niego opiekun jego kolekcji? Jedno jest pewne – to była dobra inwestycja, bo przez lata jej prace tylko drożały.

Kierowniczka. Artystka. Starsza pani z oczami jak u wielkiej jaszczurki. Czego tu szukała?

2

Imprezę inaugurującą rządy Marty w naszym domu kultury w J. poprzedził krótki wywiad dla lokalnej gazety. Dziennikarka zapytała Martę, czy teraz będzie więcej zajęć plastycznych dla dzieci i dorosłych. „Malarstwo nie jest jedyną sztuką na świecie i nie będziemy się skupiać na nim bardziej niż na innych.” „Czy pod pani skrzydłami wyrośnie nowy mistrz pędzla, prawdziwy następca wielkiej artystki?” Kolejne pytanie dziennikarki musiało ją rozbawić, o czym świadczyła jej odpowiedź: „No, nie wiem, czy jestem gotowa na następcę czy następczynię”. Dodała jeszcze, że wygrała konkurs na to stanowisko, bo ma dobre przygotowanie merytoryczne – pedagogiczne oraz z zarządzania instytucjami kultury. Ma na to nawet odpowiednie dyplomy. Przedstawiła się więc jako osoba kompetentna, wybrana w sposób najzupełniej zwyczajny i uczciwy. Odłożyłam gazetę z irytacją. Przecież to zupełnie naturalne, że artyści tego formatu jesień swojego życia postanawiają szlachetnie poświęcić pracy na niwie kulturalnej, szczególnie tam, gdzie zamiast żyznych pól straszą ugory.

Ale na imprezę poszłam. Po pierwsze, Hania nie dałaby mi żyć. Po drugie, chciałam zaspokoić ciekawość.

Nasz dom kultury należał do całkiem nowoczesnych. Budynek został nawet wyróżniony w wojewódzkim konkursie architektonicznym. Zaprojektowali go zdolni młodzi ludzie z miejscowej pracowni. Bardzo ich lubiłam (jeden z nich był moim pacjentem, z innym grywałam okazjonalnie w karty), mieli zdrowe podejście do życia. Ceniłam sobie ich projekty, zawsze świeże, na czasie

i z klasą. Dom kultury usytuowano na skarpie, a jego przeszklona ściana pozwalała na podziwianie widoku na rzekę. Stałam teraz zapatrzona w jej ciemne wody, w moje ulubione światła na drugim brzegu. Czekając na koncert, unikałam ludzi. Gwar brzęczał, a ja, bezpiecznie odwrócona do niego plecami, obserwowałam odbicia w szybie. Znałam chyba wszystkich tu dziś obecnych. Całą miejską elitę. Dyrektorzy szkół i ośrodka zdrowia. Kilku urzędników. Moje koleżanki lekarki. Właściciele przedsiębiorstw działających w specjalnej strefie ekonomicznej położonej piętnaście kilometrów na północ od J. Bibliotekarz i kierowniczką biblioteki. Dziennikarka i jej kolejny mąż. Szefostwo firmy transportowej, której rozklekotane busy łączyły nas z szerokim światem. Wyznawali oni wartości biznesowe z początków kapitalizmu i niestraszenie im były walki z kontrolami co rusz nasyłanymi przez poirytowanych pasażerów. Osobiście pokłóciłam się z nimi o fatalny stan pojazdów i zaraz potem kupiłam samochód. Od tamtego czasu omijaliśmy się z daleka. Podobnie unikałam notariusza, którego mroczny sekret poznałam przypadkiem, kiedy wpadłam na niego w berlińskim kasynie. Nie żebym miała coś przeciwko hazardowi, ale on był nałogowcem, blisko dna. Błagał, żebym nikomu o tym nie mówiła. I tak bym nie powiedziała, ale on przy każdym spotkaniu powtarzał, że jest moim dłużnikiem. Irytując. W ogóle miałam poczucie, że za wiele wiem o ludziach, z którymi dzielę ulice i powietrze. Za wiele, żeby prowadzić z nimi okazjonalne pogawędki.

Moje odizolowanie na niewiele się zdało. Ciągle ktoś chciał się przywitać, zamienić kilka słów, zapytać o dziwną wysypkę, która pojawiła się znienacka na rękach. Albo na tyłku. Uciekłam do sali i zajęłam miejsce na widowni.

Przed koncertem nie mogło zabraknąć przemów. Dumnie gładzący wąsy burmistrz i szef wydziału kultury nie odmówili sobie przyjemności podkreślenia, jak wielką osobowość ściągnęli

do miasta i jak bardzo się cieszą, że mogli stworzyć jej warunki do pracy. Potem wystąpiła Marta. Miała na sobie szarą sukienkę z wełny, która musiała być dobrej jakości, bo układała się świetnie, i żadnej biżuterii. Jakże skromnie i nobliwie. Mówiła krótko i z dużą pewnością siebie, a publiczność życzliwie reagowała na rzucane przez nią błyskotliwe żarty. Jedli jej z ręki. Na koniec powiedziała:

– Będę także słuchać was, mieszkańców, po to, żeby odpowiedzieć na wasze potrzeby. Dlatego proszę do mnie pisać, proszę przychodzić, mój gabinet jest zawsze otwarty.

Chwila pauzy, a potem:

– Mam też nadzieję otworzyć parę drzwi, które do tej pory pozostawały zamknięte. Damy temu miastu rozkwitnąć i nasycimy je sztuką.

Gorące oklaski.

Wreszcie przyszedł czas na koncert. Dwóch na oko trzydziestoletnich mężczyzn weszło na scenę i się ukloniło. Zaczął pianista, subtelnie i melancholijnie, po chwili dołączył do niego trębacz. Dźwięki niespiesznie spletały się w poruszającą melodię. To było wykonanie wielkiej klasy. Muzyka to nie moja specjalizacja, ale umiem odróżnić, kiedy coś brzmi naprawdę dobrze, a kiedy tylko stara się tak brzmieć. Życie u boku utalentowanej siostry muzyczki zostawiło mi po sobie to i owo. Ci dwaj artyści zaczarowali nas na trzy kwadranse. Nie miałam pojęcia, kim są, ich nazwiska kompletnie nic mi nie mówiły. Po burzy oklasków zabisowali i zeszli ze sceny.

Zobaczyłam ich potem na bankiecie, z sympatycznymi uśmiechami przyjmowali gratulacje. Ciekawiło mnie, skąd ich wytrzasnęła i tak szybko namówiła na występ. W kolejce po kawę usłyszałam żonę burmistrza opowiadającą o plenerze malarskim zaplanowanym na późną wiosnę. Przyjadą różni artyści, niewykluczone, że nawet ktoś z zagranicy. Była podekscytowana, jakby

sama zamierzała brać w tym udział. Nie żeby nie mogła. Widzieliśmy już próbki poezji pani burmistrzowej oraz jej talentu aktorskiego, prowadziła bowiem przyparafialne kółko wystawiające rokrocznie jasełka i inne wigilijne historie, a także uświetniające przedstawieniami miejskie uroczystości. Może jej artystyczna dusza miała potrzebę realizowania się również w sztukach plastycznych.

Na ścianach w holu wisiały zdjęcia autorstwa jednego z miejscowych fotografów i dwa obrazy lokalnych malarzy, przy czym jednego już zmarłego. Zatrzymałam się przy dziele tego, który jeszcze żył, i pomyślałam, że nasza nowa kierowniczka może mieć problem, jeśli zapragnie złowić tu wybitne talenty. Dołączyła do mnie Hania. Wyglądała na zmęczoną.

– Chcesz już iść? – spytałam.

Pokręciła głową.

– Szef wciąż na pokładzie. – Wskazała skinieniem burmistrza rozmawiającego z kierownikiem wydziału kultury.

– A zauważ, jeśli znikniesz?

– Jeśli zniknę, to na pewno zauważy – westchnęła Hania.

– Kiedy zostaniesz szefową? – zapytałam i od razu tego pożałowałam.

Uniosła kącik ust i wzruszyła ramionami w geście beznadziei. Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z panią kierownik domu kultury we własnej osobie. Pogratulowała jej więc wylewnie. Dyskretnie trzymałam się z boku, ale Hania wyrwała mnie do odpowiedzi.

– Nadii też się bardzo podobało. Prawda?

Przytaknęłam i znów popatrzyłam na obraz.

– Ciekawe rozwiązanie perspektywy, nie uważasz? – usłyszałam.

Odwróciłam się do niej.

– Tak – powiedziałam, choć nazwałabym ją raczej banalną, patrząc na uproszczenia w rysunku. – Niedzisiejsza. Jak u Giotta.

Uśmiechnęła się, doceniając moją złośliwośćkę.

– Czyli cytat?

Pokręciłam głową.

– Raczej nieświadomy.

– Poważnie? A ja myślałam, że to taka zabawa formą.

Nie wiedziałam, czy mówi serio, więc rzuciłam na nią okiem.

Wpatrywała się w obraz.

– Masz tu przykład dzieła jednego z naszych mistrzów – poinformowałam. – Samorodny talent. Będziesz takie rozwijała?

Przeniosła wzrok z obrazu na mnie.

– Tak, właśnie taki jest plan.

Kpiła sobie ze mnie?

– Nadia jeździ na wszystkie możliwe wystawy malarskie. – Przyjaciółka mnie wsypała.

W najlepszej wierze, oczywiście.

– Zazdroszczę. Ja ostatnio nie mogę sobie na to pozwolić – wyznała Marta.

O, to ciekawe.

– Obowiązki kierowniczk?

Pokręciła głową.

– Nie. Opiekunki. – Wróciła do poprzedniego tematu: – Co widziałas ostatnio?

– Signe Scheel. Był przegląd – odpowiedziałam. – W Oslo.

– Coś interesującego czy tylko *Služebnica pańska*? – spytała, mając na myśli najpopularniejszy obraz Scheel.

– Parę innych kobiet też było – odparłam.

– No tak, zawsze kobiety.

– Odnoszę wrażenie, że gdy brakowało jej modelek, to malowała autoportrety, żeby nie wyjść z wprawy.

Zaśmiała się.

– Liczyłam, że wystawa mnie czymś zaskoczy – przyznałam, bo miło było zamienić kilka słów z kimś, komu nie musiałam

tłumaczyć, że Scheel to nie marka butów.

– Rozumiem.

I wiedziałam, że rzeczywiście rozumie.

I nie dziwiło jej, że można polecieć do Oslo na wystawę norweskiej malarki w poszukiwaniu choćby drobnego olśnienia.

– Przywiozłaś mi z Oslo album z obrazami Muncha – wtrąciła Hania, kiedy obie zamilkłyśmy.

Szybkie spojrzenia, które wymieniliśmy z Martą, były jak błyskawicznie zbudowany most, istniejący tylko przez chwilę, ale jednak. Marta uśmiechnęła się uprzejmie do Hani i wmieszała się w tłum gości.

– Powinnyście się bliżej poznać, nie sądzisz? – spytała Hania. – Macie wspólne tematy.

– Nie da się zaprogramować na lubienie kogoś – odparłam.

– Życzliwa jak zawsze – skwitowała Hania.

Przyjaźniłyśmy się właśnie dlatego, że Hania nie tyle przebijala się przez moją skorupę, co zachowywała, jakby ta nigdy nie powstała.

– Wiesz, jaki jest najnowszy pomysł naszego burmistrza? – zmieniła temat. – Będzie sprzedawał cegielki na budowę pomnika.

– Jakiego pomnika?

– Godnego. Rocznicowego. Miasto ma sześćset lat i on sobie wymyślił, że uczci to pomnikiem. Na który złożą się sami mieszkańcy.

– Dlaczego nie, to może się udać.

Hania przytaknęła.

– Pewnie – powiedziała. – Ale on chce, żeby ten pomnik był w stylu bogoojczyźnianym. Trwalszy niż ze spizu. Ksiądz mu sekunduje.

Zgrzytnęłam zębami.

– Zatem szybko potrzebny jest projekt wersji alternatywnej, której burmistrz nie będzie mógł łatwo odrzucić – zauważyłam.

Hania uśmiechnęła się promiennie.

– Czyli mogę na ciebie liczyć? Pomożesz mi, jakby co?

– Ja nie pochodzę stąd, jestem przyjezdna. Nie moje rocznice, nie moje pomniki.

– I pozwolisz, żeby postawili tu przepiękne dzieło. Bohaterski żołnierz, ojczyzna w kajdanach. Obowiązkowo krzyż, jeden czy dwa. Będziesz go mijala, pewnie codziennie.

– Nie wciągniesz mnie w to – powiedziałam stanowczo.

Coś jednak we mnie piknęło – ni to bunt, ni to uciecha. Ileż to razy ulegałam podobnym impulsom, a potem włączał się mój rozsądek i stopował mnie, zanim zaczęłam się dobrze bawić. Z wiekiem nauczyłam się odpuszczać, a te impulsy ignorować, dla własnego spokoju. Zakładałam, że i tym razem tak będzie.

3

Listopadowe, zimne powietrze wślizgiwało mi się pod czapkę. Marzłam, gdy tylko wychodziłam za próg domu. Puchowa kurtka, buty jak na Arktykę, szalik, rękawiczki – niczym na wyprawę w najwyższe góry. I tak aż do marca, jeśli dobrze pójdzie. Bo jeśli pójdzie źle, to jeszcze kwiecień będzie męczył wiatrem i chłodem. Pamiętałam taki wiersz z lat bardzo młodszych, Stachury, kogóż by innego, *Pieśń opiekuna ciała*:

*Zima milordzie zapowiada się nienasycona
nie starczy nam soków a źródło ich mają trawa i lato
zginiemy milordzie już teraz giniemy.*

I dalej:

Na południe wędrujemy milordzie na południe.*

Zdarzało mi się uciekać na południe. Na tydzień, na dwa tygodnie. Raz pojechałam nawet na miesiąc. Nie znosiłam powrotów. Nienasycone zimy doprowadzały mnie do płaczu – dosłownie, nie w przenośni. Może i rzeczywiście nie były tak srogie, jak te z mojego dzieciństwa, ale na pewno wystarczająco dotkliwe, żeby moją chęć do życia ograniczać do niezbędnego minimum. Za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu, staczałam bohaterską walkę. Ciężkie chmury przyciskały mnie do ziemi, chłód kąsał skórę, a moje uczucia zamierały, przybierały formę przetrwalnikową. Nie żebym miała tych uczuć szczególnie dużo czy żeby wykazywały się wybitną żywotnością.

* E. Stachura, *Pieśń opiekuna ciała*, [w:] *Taki wieczór choć rano*, Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, Warszawa 1991, s. 31–32.

Po kilkunastu minutach stoczyłam już pierwszą bitwę z zimnem i szarością, szłam więc pewnie przed siebie. Zwłaszcza w towarzystwie psów było mi już wszystko jedno, na ile wiatr mnie wymaga, na ile mróz będzie próbował wgryźć się w odsłonięte fragmenty skóry. Takich desperatów jak ja, gotowych na spacer o każdej porze roku, kiedyś spotykało się niewielu, ale ostatnio całkiem sporo osób regularnie biegało albo jeździło na rowerach niezależnie od pogody. Siostry i bracia w zmaganiach z niekorzystnym klimatem. Pozdrawialiśmy się kiwnięciem głowy.

Nie spodziewałam się jej nad rzeką. A jednak. Miała na sobie ciemną, puchową kurtkę i wielką, wełnianą czapkę. Za to jej szyi nie chronił żaden szalik czy golf. Musiała marznąć, ale wyglądała, jakby tego nie zauważała. Patrzyła na drugi brzeg, z rękoma w kieszeniach. Zawołałam psy, bo lubiły podbiec do ludzi, obwąchać, przywitać się, a Martin w dodatku okraszał te wszystkie czynności szczekaniem. Nie chciałam podchodzić do niej, rozmawiać z nią. Omijać ją szerokim łukiem – taki był plan. Nie musiałam się z nią kolegować tylko dlatego, że mogłyśmy wdać się w pogawędkę o wystawach i nieznanym szerzej malarstwach.

Nie sposób jednak unikać się w naszym mieście. Kilka dni później spotkałam ją w sklepie na naszym osiedlu.

– Często chodzisz nad rzekę? – spytała mnie. – Gdzie jeszcze warto iść na spacer?

Czyli widziała mnie wtedy. Zrobiło mi się głupio.

– W głąb lasu. Niedaleko wejścia jest droga w lewo, ze szlabanem. Można nią dojść do starej gajówki – odpowiedziałam uprzejmie. – A jeśli skierować się na zachód, za cmentarzem jest ścieżka do starego PGR-u. To znaczy teraz to ruina, ale kiedyś były tam wielkie chlewnie. Jeśli lubisz ponure, malownicze krajobrazy, to polecam.

Ponownie wpadłyśmy na siebie w przychodni. Powiedziała mi wtedy, że bardziej podoba jej się nad rzeką niż w lesie.

– W lesie nie ma wiatru – dodała. – Ale jeszcze raz dziękuję.

Na szczęście nie została moją pacjentką. Przychodziła do internisty, widziałam, że głównie po recepty. Wybrała dobrego lekarza, łagodnego i uważnego. Lubiliśmy się. Z czystym sumieniem mogłam jej polecić też naszą kardiolożkę. Ale jeśli potrzebowała na przykład gastrologa, to czekała ją dalsza wyprawa. Tutejsi specjaliści pracowali w kilku miejscach – w tej przychodni, całkowicie prywatnej, w przychodni w ramach NFZ-etu, w pobliskim szpitalu i jego przychodniach, tak jak ja, niektórzy także w domu opieki. Byli tacy, jak neurolog czy okulista, którzy dojeżdżali do nas z sąsiednich miejscowości. W promieniu pięćdziesięciu kilometrów znaleźliśmy się wszyscy, mniej lub bardziej. Taka mała lekarska rodzina. Miałam w niej swoje miejsce, dobre i spokojne. Leczyłam wysypki, alergie, liszaje, świerzb, łuszczycę, atopię, trądziki i dziesiątki innych chorób o nieco pokrętnych nazwach i uciążliwych objawach. Czasami trafiały się choroby weneryczne i z ciekawością obserwowałam, kto po kim przychodzi z tym samym problemem. Zdarzało mi się rozpoznać zmiany rakowe i to były przykre chwile. Dwie z tych osób już zmarły. Wymagałam od moich pacjentów regularnych wizyt i naprawdę nie lubiłam, kiedy zmieniali terminy. Traktowałam swoje obowiązki poważnie, doskonaliłam się i starałam być na bieżąco. Nie znosiłam, kiedy chorzy lekceważyli moje zalecenia. Jeden z nich, na przykład, panicznie bał się maści sterydowych. Uważał, że skóra będzie odpadała po nich płatami albo może zniknie całkowicie, i jak tylko trochę mu się poprawiało, przestawał je stosować. Wtedy choroba zaatakowała ze zwiększoną siłą i znów trafiał do mnie.

– Proszę przynieść leki na kolejną wizytę – powiedziałam mu w końcu. Przynajmniej będzie wiedział, że zobaczę, ile tego zużył.

Wiercił się niespokojnie.

– Ale jak to: leki?

– Normalnie. Tubki z maściami, blister z pastylkami.

– Aha. A dlaczego?

Spojrzałam poważnie.

– Takie badanie prowadzę.

Nie dopytywał. Pacjenci rzadko dopytywali. Oczywiście byli tacy, co przychodzili z gotową diagnozą od doktora Google'a i listą medykamentów, które powinnam im zaordynować, ale – wbrew powszechnemu mniemaniu – stanowili wyjątki. Na większość mój biały fartuch działał wyciszająco i nie podejmowali dyskusji. I bardzo dobrze. Może i byłam surowa (tak się mówiło, a ja nie dementowałam plotek), ale i uparta. Dociekałam przyczyny i szukałam sposobu wyleczenia. Zresztą co miałam innego do roboty? Praca i tak stanowiła najważniejszy punkt w moim życiu. Rzecz jasna mogłam podjąć się kolejnych zleceń, chociażby z gabinetów kosmetycznych, bo zabiegi tam wymagały coraz wyższych kwalifikacji i jako dermatologa przywitano by mnie z otwartymi ramionami. Ale mnie to nie bawiło i nie chciałam się zajmować usuwaniem klientkom zmarszczek. Ja swoje lubiłam.

– Masz ich trzy na krzyż, to je lubisz – powtarzała moja starsza siostra. – Jak wyhodujesz ich tyle co ja, przestaniesz je tak szanować.

Narzekła na swój los zupełnie niepotrzebnie. Chociaż urodziła się sześć lat przede mną, wyglądała na moją rówieśniczkę. Matka przekazała nam przyzwoitą pulę genów zapewniającą niezłą cerę, brak siwych włosów co najmniej do pięćdziesiątki (blondynki mają łatwiej) i zdrowe oczy. Tato dorzucił słuszny wzrost i ładny uśmiech. Mojej siostrze trafiło się więcej uroku, otrzymała również talent, dzięki któremu została wziętą skrzypaczką. Mnie dostały się resztki jednego i drugiego. Nie było sprawiedliwości w podziale DNA.

Zbliżał się grudzień, więc myślałam o nich, o mojej rodzinie, coraz częściej. Święta, czyli prezenty do kupienia i wyjazd do Warszawy. Rodzice przenieśli się do stolicy, bo od kiedy moja siostra

i ja wyruszyliśmy w świat, żadna z nas nie planowała powrotu do rodzinnej miejscowości. Nie, nie żyło się tam źle, ale też niewiele nas tam ciągnęło. Rodzice postanowili więc na emeryturze przenieść się „bliżej dzieci”, co w praktyce oznaczało bliżej Goški, nie mnie. Poza tym były jeszcze bliźniaki mojej siostry, wcześniaki wymagające początkowo dodatkowej troski. Nasza mama tylko czekała na taki moment, chciała czuć się niezbędną. Namówiła tatę na zmianę. A raczej nie tyle namówiła, co ją zarządziła. Ponieważ ja kiepsko rokowałam, nie liczyła na to, że będzie mogła wspierać moje macierzyństwo, skupiła się zatem na swojej pierworodnej i wnukach. Nie dorobiwszy się męża ani potomstwa, to ja jeździłam na święta do nich. Jak zwykle szykowałam się do tej wizyty bez szczególnego entuzjazmu. Nie to, że tego nie lubiłam, odwykłam po prostu od obecności rodziny i musiałam nieźle się naginać, żeby jakoś przeżyć tydzień w jej towarzystwie. Kosztowało mnie to masę energii i do tego rzadko odbywało się bez zgrzytów.

Tymczasem miałam jeszcze prawie miesiąc, wielu pacjentów i brak pomysłów na tegoroczny sylwestra.

– Pani była w Gdańsku na Nowy Rok, prawda? – zagadnęła mnie jedna z pielęgniarek, Ewa, młoda, sympatyczna dziewczyna.

Przytaknęłam.

– Czy było dużo turystów? Bo chcemy pojechać gdzieś z przyjaciółkami, ale ja bym wolała nie przeciskać się przez tłumy.

– Dla mnie trochę za tłoczno – odparłam zgodnie z prawdą. – Ale w każdym większym mieście was to czeka.

Ewa kiwnęła głową, ale zaraz potem zmarszczyła nos.

– Tego się boję. Ale te moje dziewczyny są uparte.

– To nie jedź z nimi.

– I co, sama będę siedziała? – Dziewczyna westchnęła, a ja miałam ochotę powiedzieć jej, że czasem trudno o lepsze towarzystwo niż własne.

Rozmawialiśmy w naszej kuchni w przychodni. Czekałam,

aż zaparzy mi się kawa, Ewa dojadła kanapkę. Naszej wymianie zdań przysłuchiwał się Piotr, pielęgniarz. Młodszy pacjenci lubili go, bo ich rozśmieszał, starsze panie lubiły go, bo dotykał ich delikatnie i zawsze znalazł dla nich życzliwe słowo. Mnie ten jego wieczny optymizm działał czasami na nerwy. Parę razy zachowałam się tak, że chłopak zaczął mnie unikać. Teraz jednak się wtrącił.

– Uratować cię? – zapytał koleżankę. – Chodź ze mną. Nic szczególnego, domówka, ale kulturalnie.

Brawo za refleks, chłopie, pomyślałam z mimowolnym uśmiechem. Zdradzał go głos, pełny ledwie skrywanego napięcia. Ja to zarejestrowałam, ale jego koleżanka po fachu chyba nie. Tych dwoje krążyło wokół siebie od kilku miesięcy, ale wciąż byli na etapie łagodnych podchodów, ukradkowych spojrzeń i szybkiego odwracania wzroku. Ot, koleżeńskie przysługi, koleżeńskie pogawędki. Żadne nie porwało się na odważniejszy krok. Tyle razy widziałam to samo – dwoje niezbyt pewnych siebie ludzi jest sobą zainteresowanych, ale boi się działać i latami mogą tak krążyć wokół siebie, tracąc szansę czy to na przyjaźń, czy na miłość. W sumie mogłam tej dwójce trochę sprawę ułatwić, szepnąć słówko tu, szepnąć słówko tam, jedno popchnąć, drugie zachęcić. Ale nie chciałam psuć im zabawy. Będą mieli co wspominać, jak już zostaną parą. Stworzą własną legendę, w której brakuje miejsca na dobrą wróżkę w postaci oschłej doktorki od skóry.

Ekspres wypluł już moją kawę, ale ciekawiło mnie, jak Ewa zareaguje na rzucone pozornie od niechcenia zaproszenie na sylwestra. Mieszałam łyżeczką w filiżance, choć piłam bez mleka i bez cukru, grałam na czas i obserwowałam. Chłopak się spał. Ewa najpierw lekko się speszyła, ale zamaskowała to wielkim gryzem kanapki i po chwili odpowiedziała w miarę normalnym tonem.

– Dzięki. Może to będzie dla mnie opcja. – Uśmiechnęła się, zerknęła ostrożnie i uciekła spojrzeniem.

Zapadła niezręczna cisza. Upiłam łyk kawy i zostawiłam dzieci same, niech się bawią. W gabinecie kolejny pacjent musiał się bardzo zdziwić, bo zażartowałam, a nawet pochwaliłam go za dotychczasowe starania w stosowaniu się do moich zaleceń. Możliwe, że go to wręcz przeraziło, ponieważ kilka razy się upewniał, czy wszystko idzie w dobrym kierunku.

– Nie umiera pan, słowo honoru – pożegnałam go w końcu i niemal wypchnęłam za drzwi.

Ciekawe, czy uwierzył. Kiedy zbierałam się do domu, pielęgniarka z rejestracji zapytała mnie, czy byłabym tak uprzejma i zaniósła próbki leków pani Marcie, bo chyba się znamy i mieszkamy w tej samej okolicy.

– Marta o to prosiła? – spytałam, podając jej klucze do gabinetu.

– Nie, to ja pomyślałam... – Zmieszła się. – Doktor zostawił te próbki u mnie, ona się miała zgłosić. Ale jeśli to dla pani kłopot...

Trafiła na mój przychylny nastrój. Wyciągnęłam rękę. Podała mi kopertę, w której zachrzęściły blistry. Zakleiłam ją przy niej, w końcu nie muszę wiedzieć, na co choruje jedna z najważniejszych współczesnych polskich malarek.

Ledwie wyszłam za próg przychodni, a już pożalowałam swojej zyczliwości. Musiałam nadłożyć drogi. Co prawda tylko trochę, ale jednak. Nasze miasteczko pustoszało o tej godzinie, minęły mnie ze trzy osoby. Siąpił deszczyk powlekający wszystko cienką warstwą chłodnej wilgoci. Kapało mi z nosa, kiedy dotarłam przed drzwi jej domu. Znałam go. Nigdy nie byłam w środku, ale wiedziałam, że przez lata stał pusty. Miał ciemny, zapuszczony ogród z drzewami sięgającymi nad dach. Zbudowany na początku poprzedniego stulecia, trwał przez zmiany ustrojów, przez nieustanny kołowrót pór roku. Nie przypomiinałam sobie, by przechodził jakieś większe, widoczne z zewnątrz remonty. Niszczał sobie powolutku. Ciekawiło mnie, dlaczego zdecydowała się zamieszkać właśnie tutaj.

– Dzwonili, że przyjdiesz – oznajmiła Marta, gdy otworzyła szeroko drzwi. – Wejdz.

Kompletnie zignorowała moją rękę wyciągniętą z kopertą.

– Tylko przekazuję ... – zaczęłam.

– Wejdz, nic ci się nie stanie. Nie gryzę – powiedziała. – Zimno leci.

Zatem weszłam.

W domu było ciepło, rozpięłam kurtkę. Wreszcie wzięła ode mnie paczuszkę z lekami, rozerwała papier i zajrzała do środka. Odłożyła ją na stoliczek stojący w korytarzu obok wieszaka. Wskazała na ten ostatni.

– Skorzystasz?

Wyswobodziłam się z kurtki i podążyłam za nią w głąb domu. Zobaczyłam jasno oświetlony salon, przytulny, choć nieprzesadnie zastawiony meblami. Granatowa kanapa, dwa kolorowe fotele, biblioteczka. Stół i krzesła, jakaś komoda. Wielki, błyszczący fortepian. Tyle zauważyłam na pierwszy rzut oka. Przez stare, nieszczęsne okna do pokoju wpadały powiewy chłodnego powietrza, a wiatr postukiwał drewnianymi ramami.

– Jesteś po pracy? – spytała. – Chcesz koniaku na rozgrzewkę?

Pokręciłam głową. Rzadko piłam alkohol.

– To zrobię ci porządną herbatę – zdecydowała i zostawiła mnie samą.

Weszłam głębiej. Dostrzegłam kominek, przed nim poduchy i coś w rodzaju sofy z ciepłym kocem w tygrysie pasy. Docierały do mnie odgłosy krzątania z kuchni, trzeszczało drewno, na zewnątrz wył wiatr. Najwyraźniej przeprowadzono tu jednak niewielki remont, ściany wyglądały na świeżo pomalowane, podłoga błyszczała. Skupiłam się na ogniu, grzałam się, dopóki nie wróciła z kubkiem herbaty.

– Doceniam to, że chciało ci się tu przyjść – odezwała się i pierwszy raz, odkąd ją poznałam, uśmiechnęła do mnie ciepło.

– Nie ma sprawy.

Wskazała na fotele, usiadłyśmy. Dobrze, że trzymałam kubek, bo nie wiedziałabym, co zrobić z rękami. Cisza. I nagły dźwięk za moimi plecami. Odwróciła się w tamtą stronę i kiwnęła głową do kogoś, kogo nie widziałam.

– Wypałeś się? – spytała.

– Tak. – Usłyszałam lekko drżący męski głos. – Mamy gościa?

Stanął obok fotela zajmowanego przez Martę i położył rękę na jej ramieniu. Starszy pan o wielkich, brązowych oczach i bladych, wąskich wargach. Przedstawił mi się jako Jan. Mąż.

– Były – dodała spokojnie ona.

Jan przytaknął. Patrzył na mnie z uśmiechem, ale badawczo. Usiadł z nami na dostawionym krześle. Rozmawialiśmy o mieście, pogodzie, starych domach. Marta bezceremonialnie zarządziła, że mamy mówić sobie po imieniu, co chyba nie przychodziło mu łatwo, ale się dostosował.

– Jest kawa? – zapytał, patrząc na byłą żonę.

– Jak zrobisz, to będzie – odpowiedziała.

Mężczyzna podniósł się z westchnieniem i ruszył do kuchni. Kawę parzył głośno, trudno było przeoczyć którykolwiek z etapów. Na chwilę zamilkłyśmy, ale potem Marta wróciła do przerwanej wątku.

– Nadia przyniosła twoje leki – powiedziała, gdy Jan przyszedł z filiżanką. – Próbki, o których ci mówiłam.

Mężczyzna podziękował mi uprzejmie.

– Mam alzheimera – dodał niespodziewanie. – Oraz otępienie naczyniowe. Czego nie robi jedno, drugie poprawia.

Nie wiedziałam, jak zareagować. Marta zauważyła moje zmieszanie.

– Dlatego tutaj jesteśmy – wyjaśniła. – Jan pomieszkiwał tu jako dziecko. To dom jego dziadków.

I zagadka się rozwiązała, choć mieszkanie z chorym byłym mężem nadal wydawało mi się niezrozumiałe.

– Znajome otoczenie pomaga się wyciszyć, tak mówią. – Wyglądał teraz bardziej bezradnie niż jeszcze przed chwilą.

Nie skomentowałam tego. Dopiłam herbatę i wstałam. Wtedy go zobaczyłam. Wisiał na ścianie za moimi plecami. Szmaragdowy jak zazdrość. Czerwony jak namiętność. Szary jak spustoszenie. Marta dostrzegła moją minę i przeniosła wzrok na obraz.

– Dobry, prawda? – spytała. – Kupiłam go na starociach za grosze. Urzekł mnie, widać duży talent, chociaż jeszcze surowy. Zawsze mnie ciekawiło, co się stało z artystą. Podpisano go tylko literami ND, nie ma nawet daty.

Słyszałam ją, ale nie potrafiłam od razu odpowiedzieć. Milczałam ja, milczeli oni. Chyba zapomniałam też o mruganiu.

– Olej na płótnie, metr na półtora – wykrztusiłam w końcu. – Ma siedemnaście lat i dwa miesiące.

Zapadła cisza. Czekali.

– Znasz go? – Marta podniosła się podekscytowana.

Kiwnęłam głową i próbowałam coś dodać, ale miałam ściśnięte gardło. Odchrząknęłam.

– Twój? – spytała nadzwyczaj domyślnie Marta. – Namalowałaś go?

Przełknęłam ślinę i znów przytaknęłam. Była poruszona, ale ja bardziej. Jan pił kawę małymi łykami, mrużąc przy tym oczy, co nadawało jego twarzy badawczy wyraz.

– Muszę iść. Przepraszam. Muszę iść – oznajmiłam nieskładnie i wybiegłam, łapiąc w locie kurtkę.

Marta coś do mnie mówiła, ale nie słyszałam słów zagłuszanych przez szum w mojej głowie. Kurwa, kurwa, kurwa, powtarzałam całą drogę do domu. Wpadłam do środka, zamknęłam za sobą drzwi i siły mnie opuściły. Psy wyszły mi na powitanie, ale nie rozumiały, co się dzieje. Dlaczego ich pani siedzi na podłodze i płacze, zamiast się witać?

Ochra
Copyright © Anna Robak-Raczek
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2024 r.

książka ISBN 978-83-7995-787-3
ebook ISBN 978-83-7995-788-0

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Paulina Kalinowska
Korekta: Joanna Błakita
Projekt i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Ewelina Nawara
Skład i typografia: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

KSIĄŻKĘ I EBOOK NAJTANIEJ KUPISZ W MADBOOKS.PL